

Lęki poranne

Bohater „Lęków porannych” Grochowiaka, eks-fryzjer z Targówka czy Pragi, przeżył wojnę. Potyka się o nią wśród pijackiego szlachu.

Bohaterem chyba nie był, chociaż „gruba Niemra” w szpitalu wyciągała z niego odłamki żywcem. Czy taka jest genealogia alkoholizmu Alfa? Grochowiak nie stara się stworzyć realistycznych motywacji. Alf, opuszczony przez najbliższych, żyje samotnie w swojej klinice lalek. Jak one jest przedmiotem, w którym coś się zepsuło. Jego pijacka egzystencja toczy się na marginesach życia, gdzieś na cmentarzyku rzeczy niepotrzebnych, wśród bylejakości i beznadziei. Cały świat Alfa to jego deliryczne *alter ego* Bis i Kola Brynion, włóczęga, ptasznik i pijak-wesołek. Świat tych trojga nie przylega nigdzie do rzeczywistości, jest czystą poetyką wizją — daleką repliką Leśmianowskich istot nieszczęśliwych i kalekich, zużytych przez śmierć, z którą obcują na co dzień.

Alf Grochowiak nie ograniczył się do sfery poezji. W miarę rozwoju akcji coraz bardziej zbliżamy się do banalnej, obyczajowej przypowieści z mo. ałem — o społecznej znieczulicy, samotności wśród ludzi, poruszamy się wśród postaci stereotypów: próżnej i chciwej żony, eks-przyjaciela i aktualnego kochanka żony, pyskatej dozorcyni. Ukoronowaniem jest postać panny Frunze, pielęgniarki z poradni antyalkoholowej, osobliwe srzyżowanie karykatury XIX-wiecznej sawantki z prymitywną satyrą w stylu socrealizmu. Czy w takim towarzystwie Alf, zdecydowany na powrót do świata trzeźwych i żywych, może do niego powrócić?

W „Lękach porannych” prawie nie ma akcji. Dwa akty sztuki to jakby dwie klisze sytuacyjne. Subtelnie obrysowana w akcie I postać bohatera ledwo odcina się od tła: nędza, brud, samotność, pijaństwo stanowią jedność. Taki jest negatyw, rozjaśniony barwą łotrzykowskią przyjaźni wykolejeńców, deliryczne-

go raj. W akcie II — urodziny Alfa — króluje schłodność, odświeżona atmosfera, złudzenia. Cichutki, czysty i trzeźwy Alf stara się odnaleźć na miejscu, które mu wyznaczono — oto ironiczny pozytyw. Ale nikt nie chce naprawdę pomóc człowiekowi — niewygodnego męża trzeba wpakować na kilka miesięcy do zakładu, jak się go uśmieciło na użytek dzieci. Pijany, czy trzeźwy, bohater jest dla otoczenia tylko przedmiotem, kłopotliwą sprawą.

„Lęki poranne” to sztuka z wewnętrzną rysą, kaleka jak jej bohater. Jak na pogadankę obyczajową — zbyt wiele w niej tragizmu, poetyckiego uwirowania sytuacji; jeśli potraktować ją jako poetycką tragedię — bije od niej dydaktyzm, szeleści papier publicystycznych uproszczeń. Dla reżysera pole do popisu tu niewielkie. Tekst nie daje też wielu okazji do satysfakcji aktorskich, ale z pewnością dostarcza ich odtwórcy głównej postaci. W Teatrze Starym bohaterem wieczoru w pełnym tego słowa znaczeniu jest, znakomicie w tej roli obsadzony, Andrzej Kozak. Z prerastającym gółosem zmagają się melancholijny, jakby z góry przekonany o klęsce. Każdy jego gest jest zarazem ruchem w stronę świata i walką z paraliżującym bezwładem, niepewny, urywany, jak gdyby istniała naprawdę tylko jedna rzeczywistość — nadkoszmaru. Kozakowi niepotrzebne jest zmaterializowane widmo Bisa (Jerzy Stuhr) — on je materializuje swoją grą. Scenę samobójczej śmierci nie tylko dzięki obecności Bisa odczuwamy jako przemoc — Kozak szamoce się rozpaczliwie, broni jak dziecko przed ułóżkami się z bezpowrotnym mrokiem, w którego kojącą wszechmoc chce wierzyć.

Z pozostałego zespołu — życzliwy, uśmiechnięty portret Koli Bryniona stworzył Jerzy Nowak, a dawno na scenie nie widziana Halina Kuźniakówna zademonstrowała dosadną i rubaszną sylwetkę dozorcyni.